ZEW

15 MAJA
1933 ROK

PAŃST. GIMNAZJUM IV. IM. H. SIENKIEWICZA W KRAKOWIE

ROK I. **ZEW** NR. 2.

Czasopismo Młodzieży Państw. Gimnazjum IV im. H. Sienkiewicza

Kraków 10 maja 1933.

Sternik ojczystej Nawy.

Po bohaterskich, zbrojnych wysiłkach 1863 roku, stłumionych ręką przemożnego wroga, naród zwolna począł upadać na duchu. Coraz mniej było takich którzyby wierzyli, że musi nadejśc czas realnego czynu. Nawet duchowi przewodnicy narodu, zwątpili w odzyskanie niepodległego bytu państwowego. Coraz bardziej zagadnienie państwowości otaczano legendą cudu i Opatrzności Bożej. Trzeba więc było wskrzesić wiarę w przyszłe samoistnienie, w przejściowość istniejącego stanu. Jednak to przeświadczenie oprzeć należało na trzeźwych i mocnych fundamentach. Ogół rozgoryczony bezskutecznemi walkami o niepodległość, gnębiony represjami rządów zaborczych, trapiony troskami życia codziennego, nie był zdolny myśleć o nowej zbrojnej próbie. Trzeba było zbudzić to społeczeństwo, usypiane narkotykiem haseł „pracy organicznej", i nałożyć na nie obowiązek walki o niepodległość.

Trudne to było zadanie. Lecz nie ułąkł go się Ten, na którego czekała, zakuta w niewoli kajdany Polska On widział, że z harfy, na której Duch Boży gra historję dziejów, ręce zaborczych morderców zerwały strunę polskości.— Założyć ją z powrotem, wbrew wszelkim przeszkodom — wziął sobie za zadanie. Zródłem Jego wiary w tryumf krwi były mogiły zmarłych ojców. „Gdzież są ci Polacy ze Spiewów Historycznych, z poezyj Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego?!" Słowa te wypowiedział J. Piłsudski w chwili, gdy spostrzegł, że nikt nie myśli jak On, że jest wśród swoich — obcym. Jedni zdążyli już rozgłosić Sprawę za przegraną, — inni również zbytkiem wiary nie grzeszący, niepodległość pojmowali jako ideę moralną; jedni i drudzy nie nakładali na dziś obowiązku walki i sposobienia rąk do niej.

Józef Piłsudski był krzewicielem idei swego wieku. Z innym programem szedł do wolnej Polski. On głosił wiarę w siły własne, krzewił czyn. Był to program największego wysiłku wymagający bolesnych ofiar, lecz jednocześnie program największych korzyści. Byt tedy zaprzeczeń opporturmizmu epoki.

Liczni bojownicy krzewili przed Piłsudskim ideę nieprzejednanej, ustawicznej walki nie uznającej zawieszenia broni. Walczyli oni z siłą wroga i bezsilnością własnego narodu — i padali wreszcie od jednej, drugiej, lub obu naraz. Zasługą Piłsudskiego jest, że podjął ideę tę, w chwili największego jej upadku i kontynując ją, umożliwił doprowadzenie jej do zwycięstwa. Wielka wartość moralna tej idei polega na tem, że choć wymagała ofiar jednostek, to jednak ratowała naród przez ustawicze przypominanie mu doznawanej krzywdy, nie pozwalające na zabliźnienie się ran, zadawanych ręką wroga.

Jednostce wytyczała drogę ku wielkim celom, lecz aby je osiągnąć, trzeba było złożyć daninę krwi własnej. Jednostronnie i ciasno pojęte hasła „pracy organicznej“ wybujały u nas w zamiłowanie do łatwych poczynań, bez narażenia się na niebezpieczeństwa. A przecież ukochanie rzeczy nieniepowszednich i nieprzeciętnych, ważenie się na trudne zadania, świadczy o stopniu ideału, jest dowodem prężności życiowej. Stuletni mrok niewoli i wychowanie w więziennej atmosferze, a zwłaszcza teorja rezygnacji i pogodzenia się z losem, oduczyły nas chcieć rzeczy niezwykłych. Piłsudski uczył tego na nowo, wdrażając wstręt do rzeczy łatwych. Wielkość Piłsudskiego nie polega bynajmniej na tem tylko, że walczył o Polskę i że za nią cierpiał, nie jemu pierwszemu przypadło to w udziale. Wielkość Piłsudsciego wypływa stąd, że siły poszukiwał we własnym narodzie i wystąpił do walki pod narodowym sztandarem. Wielu Polaków ginęło w obcych szeregach, myśląc o Polsce. On stworzył polskie szeregi. Obecnie idea Piłsudskiego wydaje nam się jasna i słuszna, staje się, jak tego chciał Piłsudski, „rozumem polskim“, lecz idea ta nie miała powodzenia w drugiej połowie minionego stulecia. Przegrywała. Zwycięską, byłby naród obnosił z dumą, jak to czyni obecnie, jak to czynią niedawni jego przeciwnicy. Pokonaną zbroczoną krwią wbitą w ziemię — lekceważono i pomiatano.

Myśl Witkiewicza dosadniej jeszcze wyraził Piłsudski: „być zwyciężonym i nie ulec, to zwycięstwo — zwyciężyć i spocząć na laurach to klęska“. Słowa te znaczą, że nietyle wart jest rezultat stoczonej walki, ile wysokość i niezmienność napięcia ideowego, które do walki było bodźcem. Nie wolno sądzić wielkich wypadków, na podstawie chwilowej rozpaczy, i chwilowych rezultatów. W taki sposób pisana historja ludzkości, jakże byłaby niesprawiedliwą.

Ogół nie chciał walki. Mogiły bohaterów walk niepodległościowych, tych męczenników Sprawy, miast tchnąć wiarę w naród, budziły wspomnienia doznanych klęsk, dusiły każdą myśl nieśmiałą. A przecież krew tych męczenników nie została na próżno wylana, była pokrzepieniem dla Sprawy, ogniem niezniszczalnym, przypominając obowiązki Polaka tym, którzy o nich zapomnieli. Krew wołała potężnym głosem, że klęski poniesione, to etapy wielkiej pokuty narodu, ku coraz bliższemu słońcu wolności. Trzeba tylko wyciągnąć z pochwy bezczynny miecz, stępiony czasem i wyostrzyć go na karkach najeźdzców. Wiara w konieczność kontynuowania sprawy i zastosowania do walki, prowadzi do walki, prowadzi do przeświadczenia, że z dwóch sił, moralnej i fizycznej większą jest pierwsza, że liczba nie decyduje o wygranej, że zwycięstwo liczby nie chce, męstwa potrzebuje. A więc, znowu stajemy przed zagadnieniem siły moralnej, którą Piłsudski zaszczepiał był narodowi, pozbawionego „szerokiego rozmachu“ zastąpionego „małością życia i aspiracyj“. Kto tak wierzył i z taką wiarą szedł naprzeciw wypadkom, nic dziwnego, że na szalę wojny, odważył się rzucić słaby, ale własny miecz. Budziciel siły swego narodu Józef Piłsudski, był zarazem strażnikiem polskiego honoru, najlepszym nauczycielem swej epoki, wskazującym jej wielkie cele, protestem przeciw zakładaniu rąk w bezczynie, a jako taki, był mądrym politykiem i najprzezorniejszym patryjotą. Nauczył nas czegoś więcej niż wojny, mianowicie wiary w samych siebie w krew i w żelazo. Tem bowiem powstają upadłe i tem utrzymują się przy życiu wolne narody. Albowiem sprawiedliwość dziejowa nie spływa na narody jak łaska niezasłużona. Sprawiedliwość

narody muszą brać same! Tak też czynił Piłsudski, budziciel ducha bohaterskiego nowej Polski.

Niestrudzony sternik, burzą dziejową skołatanego okrętu, wprowadziwszy go w zaciszną przystań, nie spoczął. Zaczął znowu walczyć z różnorodnemi trudnościami, na jakie napotykało zmartwychwstałe państwo. Był jego najlepszym obrońcą, stojącym na straży polskich granic, polskiego honoru.

Nam młodzieży polskiej Jego czyny i wskazania, niech świecą przykładem. Uczmy się od Niego, jak drogą sercu każdego Polaka jest ziemia rodzinna. Patrząc na Jego niezniszczalny przykład, słowo łączmy z czynem, a stworzymy Polskę potężną, jaką by chciał widzieć jej Twórca i Wódz Józef Piłsudski.

Mieczysław Nyczek.

Trzeci Maja

Skłębione wały chmur zachodu cień rzucały na wzburzone morze wieków. Szara kopuła stropu niebios, ciemniejąca ku wschodowi i północy, nie wróżyła nic dobrego Potężne cielska przelewających się z rykiem obłoków, groźbę gromu słały w niezmierzone przestrzenie, trupim blaskiem błyskawic, oświetlając kruchą nawę Państwa Polskiego. Nadciągała żywiołowa burza. A na jej czole, w dymie mgieł, otoczony aureolą blasków potęgi, lśnił miecz carów, symbol śmierci i zagłady.

Mknął statek nierównym biegiem konających okrętów, zbryzgany krwią, trzeszczący pod naporem wichrów.. Sylwety połamanych masztów, pruły powietrze, pozbawionemi żagli rejami Jeszcze ostatni majaczył nad pokładem, ostatni znak życia i ocalenia. Lecz i ten jak śnieżnopióry ptak wzbił się w górę zerwany huraganem, walczył chwilę z jego potęgą, pokonany padł na grzbiet odmętów i zniknął w ich głębi...

Statek dostał się wir burzy...

A marynarze z obłąkańczym śmiechem na sinych wargach skakali w ołów fal, lub z zaciętością wiercili dziury w spróchniałym kadłubie, ciesząc się, na widok tryskających do wnętrza strumieni. Załoga oszalała. Szła z otwartemi ramiony w objęcia widma śmierci, szczęśliwa szczęściem szaleńców... Okręt bez sternika tonął na bezmiarze wód. Lodowy wiew wrócił przytomność rozbitkom. Zrozumieli grozę położenia i nagle z siłą tytanów ruszyli do walki z chaosem... Upadli... Bar przeszedł do historii. Burza ich ścigała w kajutach zwaśnieni przykładali sobie do piersi ostrza szpad. Sępy obłoków już chwytały okręt w swe szpony, gdy na nieboskłonie zabłysło złotem majestatu życiodajne słońce. I zawisła tęcza ponad czasem, rzucając blaski na przeszłe i przyszłe wieki. A z głębin runął głos potężny, zew niezmożony „Trzeci Maj“!.

Juwa.

B. Merklinger.

Ranek wiosenny.

Wybujał się ranek wysoko, rwiącym, pięknym polotem
I młodością swą zapełnia każdą pustkę świata...
Nastrojem płyną chwile jak perfumy z dźwięcznie szumiącym wiatrem
I wilgotnym lotem lądują śpiewając na kwiatach.

Ziemia otulona wizją radosną, jak mszą dziękczynną,
Oddaje głębokim oddechem hołd słońcu i płynie miodem
Pod niebem tkliwie sennem, stworzyciela szlachetnym płodem.

Smutna historja.

Teraz leżał na kupie śmieci na pół zetlały i śnił o swej minionej, a tak pięknej, szczególnie w początkach przeszłości. Swego towarzysza z drugiej nogi utracił niedawno, kiedy jakiś biedak w poszukiwaniu za czemś zdatnem do użytku względnie do sprzedaży, zabrał mu go, jako lepszego od niego.

Jakże przedstawiała się przeszłość obydwu. Kupione jako piękni przedstawiciele obuwia sportowego, dostały się na nogi zgrabnego studenta. Ten, dokąd nie widziały błota, wstrzymywał się od kopania piłki i leżących po drodze kamieni. Wówczas zbierały największe honory. Właściciel wychodził sobie w nich na spacer, a przechodzący, szczególnie zaś koledzy posiadacza powtarzali: „Wytworne“ buciki. Wnet się to jednak skończyło. Zostały ochrzczone pierwszem błotem, w następstwie czego były coraz rzadziej podziwiane. Wreszcie rozpoczęły się dni ciężkie. Jedna wycieczka, druga, trzecia... Wkońcu właściciel nie pomijał kopania piłki i kamieni. Znikała dawna piękność, lecz zato wzrastała ilość zelowań. Biedaczyska się kończyły. Kielich goryczy i udręczeń przepełniło zjawienie się pary butów intruzów, które jako nowe były częściej używane i dla których rozpoczynał się okres powodzenia. Rezultatem tych zmartwień byly pęknięcia wierzchów. Wkońcu prawy, który więcej ucierpiał, jako czynne narzędzie wszystkich strzałów na bramkę, rozwarł swą zębatą paszczę uzbrojoną kilkudziesięcioma kołkami,

Teraz nadeszły smutne dni, Uznane za niezdatne, przeszły dzięki ofiarności szanownej rodzicielki właściciela, w ręce stróżki. Ta dała je swemu Frankowi, który kilka razy wyszedł w nich zamieść lub polać chodnik przed kamienicą. Szybko jednak wzgardził stróżak trzewikami (o ile je tak było

można jeszcze nazwać) i nieszczęsne powędrowały na śmietnik. Tu ostatni cios. Przychodzi jakaś hiena śmietnikowa, usmarowany człowiek i zabiera lewego gdyż jest lepszy, a prawy popozostaje...

Zapadła noc. Księżyc wyglądnąwszy z za chmur oświetlił śmietnik wraz z leżącym na jego szczycie na pół zbutwiałym butem, szczeżącym swą zębatą paszczę, w niemej skardze na ludzką niewdzięczność.

Dodek.

„Przed burzą“

Płyniemy coraz szybciej
Woda się lśni jak ołów
Woda się pieni, szumi
Gromy dalekie się budzą
Chmury — zawieje już lecą
Nie udał się dziś połów...

Po grzbietach chybotliwych
I w szmaragdowe zamęty
Mkniemy szalonym pędem
Mkniemy by na wyścigach
Wicher już szarpie żagle
Ha! wyścig już zaczęty!...

Wichry — zimnice się biją
Biało — zieloną pianą
I świszczą niby hieny
Z piekła wylęgłe rojem
„Halo — mój stary drabie
Jak pięknie było dziś rano“...

Stanisław Pagaczewski.

Ciężka Praca.

„Moi szlachetni, zebrani tutaj praojcowie naszego również szlachetnego grodu“...

Burmistrz powiódł dumnym wzrokiem po sali, zapełnionej paroma rzędami głów łysych, a pochylonych w błogiej kontemplacji. Następnie spojrzał na karafkę a wkońcu na swój nowy

cylinder z gamą refleksów, grających na nim wesołego foxtrotta i ciągnął mowę dalej. „Zebraliśmy się tutaj, aby radzić nad sprawami i innemi nieodzownemi bolączkami naszego miasta. Otwieram więc uroczyście posiedzenie. Porządek dzienny: primo voto — wiadome wam sprawy miejskie, zaś secundo wolne wnioski i interpunkcje“.

Odchrząknął i spojrzał znów zadowolony, jak poranek wiosenny, po sali. Nagle jednak nogi pod nim zadrżały i przybladł trochę. Dojrzał bowiem gnieżdżącą się w rogu sali wieczną opozycję. Nauczyciel i aptekarz — oto jej dwa filary — niezłomne, nieugięte, gotowe walczyć z burmistrzem do ostatniej kropli wody w karafce urzędowej, spoczywającej majestatycznie na stoliku i wysłuchującej wszystkich tych mów, — których symbolem była woda, jako że rzeczona również może kapać godzinami w sposób swoiście monotonny. (Vide: dziurawa rynna).

Szybko jednak czcigodny naczelnik jeszcze czcigodniejszego miasta otrząsnął się z tych nieprzyjemnych wrażeń.

Postanowił walczyć do upadłego (stołka opozycji) i przymknąwszy na chwilę oczy skoczył z rozpaczliwą premedytacją w brudną toń obrad.

„Panowie, zaczynajmy! Na pierwszy plan — sprawa wspólnej fotografji całej szanownej Rady Miejskiej...“

Co? Fotografji... Rady Miejskiej — w czasie gdy z powodu złego ogrodzenia na Targowicy miejskiej auto o mały włos nie przejechało mojej, z takim trudem i nakładem pracy i starań wyhodowanej świni? — zawyło coś z rogu sali. Opozycja — pomyślał burmistrz — i poczuł, że blednie.

Targnął jednak dzwonkiem i wyrzekł z mocą: Wzywam Pana panie S. do porządku dziennego. A teraz, wracając do sprawy, ad rem... jak rzekł... no, ten, tego, no, niech będzie Sofokles. Sprawa wspólnej fotografji. Więc najpierw — rozmieszczenie. Na pierwszym planie, oczywiście ja z moją Amelją...

Ryk w „rogu opozycji“. Patrzcie go „ja z moją Amelją“... Ha, ha! A gdzie panie burmistrzu demokracja, gdzie skromnośc, najwyższa cnota obywatela, a tem bardziej burmistrza naszego grodu? Pytam się — gdzie? No — jak rzekł nasz wieszcz: Cicho wszędzie, głucho wszędzie...

Właściwie na zebraniu wrzało, jak w garnku na rozpalonej blasze.

Nauczyciel jednak zacytował ten urywek li tylko gwoli ukazania swej erudycji, olśniewającej jak kieszonkowa „Centra-Mikro“. Perorował on dalej: gdzie się podziały cnoty obywatelskie w naszem mieście? Jednak obecny zarząd nie rozumie rzeczy tak wzniosłej. Poziomy idjotyzm zawsze zostanie na dole, przyziemny, przypłaszczony. „Na dole tuman, a miesiąc wysoko“...

Brawo — wrzasnęła opozycja.

Precz, na latarnię — ryknęli stronnicy burmistrza.

W tym rozgwarze rozległ się głos łagodny, pełen słodyczy. Był to kupiec, pan G., jedyny członek Rady Miejskiej, nie należący do żadnego z rozżartych i walczących zaciekle stronnictw.

Głosem łagodnym jak wietrzyk, muskający kwiatki, rzekł: stawiam wniosek...

Wszystkie spojrzenia skierowały się ku niemu. Może on znajdzie wyjście z tej ciężkiej nad wyraz sytuacji...

Pan G. chrząknął i zabrał głos: Stawiam wniosek... otworzyć okno!

Na sali znów zawrzało. Wtem powstał drugi filar opozycji — aptekarz Walerjan Pigułka — „Chcę podziałać na tok obrad łagodząco, jak rycynus... Słowa tego męża kapały z początku uspakajająco, niczem krople walerjanowe. Później jednak nabrał wigoru i wkońcu — wyrazistym ruchem ręki podkreśliwszy swe oburzenie, wprost zawył: I to się dzieje w naszem sławnem mieście... To jest przecież zgroza! To dłużej już tak nie może trwać! Hańba, wstyd, pfuj!..

W tej chwili ozwał się dzwonek

burmistrza. Zrobiło się trochę ciszej. Panowie — rzekł niby spokojnie naczelnik miasta — nie odbiegajcie zbytnio od tematu... A więc: Ja i moja Amelja...

Znowu groźny ryk... On i Amelja... Wstyd, hańba, precz... Burmistrz usiłował jeszcze walczyć. „Ja i Amelja“. Znowu wściekły skok byka opozycji na biednego torreadora magistrackiego. Ryk, pisk, gwizd, wrzawa... „Ja i moja Amelja“... jęknął burmistrz i opadł na prezydjalny fotel bełkocząc: Ja, Amelja, fotografja, grupa...

J. R.

Dolina Księżyca.

Czarne, smutkiem bezdennym ziejące jaskinie,
Gdzieniegdzie tylko przerwą monotonję grozy.
Nieskończone przepaści i skalne wąwozy
Przerzynają, rozpaczne swą ciszą, pustynie...

Wołam, krzyczę, łkam, tupię. Te ciszy obozy
Tłumią wszelki głos żywy. W okropnej godzinie
Zda się, że cisza taka nigdy już nie minie.
Daremnie czekam jakiejś tu metamorfozy!

Kto w pustyni ludzkości głos z serca wyrzuci,
Jak pilnie wyczekuje z odpowiedzią gońca!
Może się obudzili — w przeciętność zakuci?

Targasz pierś krzykiem — groźna cisza trwa bez końca...
I śmieszny jesteś; niech cię to nie smuci,
Ale kto, na księżycu, w nocy, woła: „Słońca“?..

Mroczkowski Przemysław.

„Zachwyt“

Wiesz co to zachwyt? — Ja patrzę z zachwytem
Na las wieczorem jasno-fioletowy,
Na zachód słońca błękitno różowy,
Gdy czasem zdążam miedzami za żytem.

Ja się srebrnemi zachwycam wierzbami,

Słucham jak trawy szepcą po szuwarze,
Zostaję przy nich mojemi myślami
W takim spokojnym i lekkim pogwarze.

Grają jak gęśla, mówią tak jak bajka
Ich dźwięk leciutko o uszy mi dzwoni
Jak najtęskniejsza melodja grajka.

Ja słucham tylko co szeptają kwiatki
Chciałbym tak szeptać jako kwiat jabłoni
Jako złotawe zboża i bławatki.

„Ignatus“

Tęsknota (sonet).

Rozszumiały się brzozy nad światem.
Jakąś smętną, tęskliwą modlitwą,
Rozpłoniło się niebo szkarłatem,
Pomęczyły się wichry gonitwą.

Poskarżyła się przed polnym kwiatem
Od dalekich gór biegnąca żałość,
Że świat cały nie jest sercu bratem,
Że tak marną jest człowiecza małość.

Zczerniał szkarłat na niebie wieczornem,
Rozpłakała się z wiatrem tęsknota
Nad zasianem swieżo polem ornem.

Rozżaliła się ludzka niedola,
Że ją wicher, swawolny niecnota,
Na dalekie unosi gdzieś pola.

Zet. Jot.

Wakacje.

...zapachniały okwitłe na plantach czeremchy
zapłakał wodotrysk na łabędzim stawku
zrobiło się ciepło, rozkosznie pachną akacje...

pociąg nasz pędzi po wąskim mapy skrawku
i wiezie naszą radość z miasta na wakacje...

zasmucił się łabędz, łabędź śnieżnopióry
że coraz mniej dzieci stłoczonych na mostku
skropiły ziemię deszczem popielate chmury
zrobiło się: nudno... lokaj oznajmił komuś
„że państwa niema... pojechali w góry...“

S. Pagaczewski

ZYGZAKI

Refleksje.

Wychowujemy się w dusznem, szarem mieście. Wyrastamy na podtatusiałych lowelasów. Zamykamy się w ciasnych ramach otoczenia, takich samych jak my, a nie mamy zrozumienia dla tego, co piękne. Bo ono jest dla nas niedostępne. Jedynem oderwaniem się od monotonności dnia powszedniego, to droga za miasto. Jednak jak to się mówi, niema reguły bez wyjątków. Więc zdarzają się i tacy, dla których podnietą do spełniania nudnych obowiązków jest perspektywa czegoś nowego. Czasem, jak się tak myśli, nie mając co robić, to przez głowę przelatują różne dziwolągi. Myśli się: po co gnieciemy się w ciasnych ramach t. zw. estetyki i wychowania towarzyskiego? Poco gnijemy, marnując swe soki żywotnie na wypocenie jakiegoś listu miłosnego? Zaprawdę, szczęśliwi są ludzie, którzy odgrodzeni od świata cieplemi, matczynemi ramionami Pacyfiku, pachną morską pianą i złotym piaskiem wybrzeży. Potężna sylweta wulkanu w szyszaku z pióropuszem strzeże ich. Błękitne, na widnokręgach zlewające się z morzem niebo daje schron. Wiatr cichym szeptem, poruszając palmy usypia. Ale trudno, to jest dla nas „tabu“. Może jednak kiedyś tęskniące wyjątki oderwą się od ludzi, bazyliszkowym wzrokiem oglądających życie przez lornetkę o szkłach krzywego zwierciadła i tam dotrą. *K. G.*

Szkic z Wileńszczyzny.

Wszyscy wiemy, jak często w rozmowie, niepotrzebnie użyte słowo zmienia w zupełności sens całego zdania i jakie z tego śmieszne rzeczy wychodzą. Wiele takich kunsztownych, a przez to niesłychanie komicznych zwrotów, można usłyszeć na Wileńszczyźnie. Wogóle, tamtejsi ludzie dziwnych używają słów, ną oznaczenie wręcz przeciwnych pojęć. Trzeba jednakże rozróżnić na Kresach, t. zn. na Wileńszczyźnie, trzy, a właściwie cztery kategorje ludzi (więcej nie bierze się pod uwagę): tamtejsi ziemianie,

szlachta zaściankowa, chłopi białoruscy i wreszcie napływowi, z innych ziem Polski przybyli.

Ziemianie i napływowi mówią oczywiście po polsku, zupełnie poprawnie, bez żadnych przeciągań i „śpiewań“, jak nieraz mylnie sądzono, chłopi po białorusku, a od święta, podczas jakichś uroczystości, albo zabaw, lub rozmawiając z „panami“ („pany“ — akcent na „ny“ — czyli ziemianie) po polsku. I właśnie ta szlachta przeciąga i „śpiewa“ z litewska, a zarazem używa tak cudacznych słów, a nawet całych zwrotów, że nieraz trudno zrozumieć, co oni chcą przez to powiedzieć.

Gdy byłem mały, chciałem, przypuśćmy, wyleźć na dach. Mówią mi: „Nie idź (akcent na „idź“), a to obojętnie!“ Oczywiście lezę, a kończy się na tem że spadam. I któż mógł przypuścić, że „obojętnie“ znaczy to samo, co niebezpiecznie, jak się później okazało.

Albo taka rozmowa między gospodarzami, a gośćmi. Ręczę, że gdybym nie porobił wyjaśnień, mało kto mógłby zrozumieć, o co im chodzi, a oni doskonale się rozumieją. Gospodarz częstuje gościa wódką:

— Perswaduje w rence panskie.

— Bynajmniej — odpowiada gość. Wypijają.

Uwaga! nie w ręce pańskie, a w rence panskie. Co ten dialog ma znaczyć, ja sam nie wiem, przypuszczam, że będzie to rodzaj naszego: „Chaim — Siulim“, tylko w wykwintniejszym stylu albo staropolskie: „W Wasze ręce Panie Bracie!“ czy coś w tym rodzaju. Lecz gospodarz przysuwa zakąski i rozmowa ciągnie się dalej:

— Proszę kąsać (t. zn. jeść)

— Proszę nie uważać—gość na to.

Co znaczy, żeby na niego nie zwracano uwagi, że on sam, mimo iż jest gościem w tym domu, da sobie radę. Gdy już dobrze podpiją, wesoło jest i goście mili, gospodarz wtedy może powiedzieć:

— Proszę się nie ścieśniać, mój dom bez ambicji.

Tu każdy sobie z pewnością pomyśli: „Po polsku to, a jestem jak na chińskiem kazaniu“. Otóż to znaczy, niech się goście nie krępują. U nas mówi się: „Niech państwo czują się, jak u siebie w domu“.

Jeżeli gość jest niezadowolony z przyjęcia (bo i tak bywa), a uważa, że niedość go w tym domu uhonorowali, wtedy, na wszystkie zaproszenia gospodarza, częstującego go jedzeniem, odpowiada:

— Dziankuję, z domu syt. (akcent na „dzian“),

Jest to ta sama szlachta zaściankowa, o której Mickiewicz pisze w „Panu Tadeuszu“ że: „żną i przędą w rękawiczkach“. Coprawda teraz nie widziałem, żeby tak było, ale, że różnią się znacznie wyglądem od chłopów, to fakt: odrazu można poznać takiego szlachcica. Szczególnie dostojnie wyglądają w niedzielę (bo są wyjątkowo starannie ubrani), nawet ubiór ich inny jest, niż ubiór chłopów białoruskich. Noszą oni kurtki z samodziału, bardzo porządnie wyglądające, a z samego wyrazu twarzy, odrazu się poznaje, że ma się z czemś lepszem od zwykłego „mużyka“ (tak się tam nazywają chłopi białoruscy) do czynienia. Z chłopami zadają się tylko o tyle, o ile wypadnie tego konieczność, lub przypadek, ale sami uważają się za lepszych od nich. U siebie urządzają często zabawy z tańcami t. zw. „wieczorynki“. Żaden chłop nie może na nich bywać, tak samo oni nie bywają na chłopskich zabawach. Szlachta ta mieszka w zaściankach; na Wileńszczyźnie zaścianek nazywa się okolicą.

Z. S. z Małaszek

Reklama.

Miałem przyjaciela, chłop wcale nie zły, zabobonny jednak niczem człek jadący w expresie na gapę. Widoku psa i kota nie znosił.

Raz, naprzykład, wracałem z miasta, lało wówczas jak z cebra. Z nastawionym kołnierzem, z rękoma zatkniętemi w kieszeniach, pędziłem do domu. Aż tu na chodniku ktoś stoi: wysoki, pochylony nieco, z czapką zaciśniętą na oczy a łeje się z niego gorzej aniżeli z cebra. Patrzę i poznaję, toż to nie kto inny, jak tylko mój przyjaciel.

— Józek — drę się na niego — chodźże, boś mokry jak ślimak.

— Nie mogę — odparł ponuro Józek z rezygnacją w głosie.

— Nie możesz? Dlaczego? - pytam zaintrygowany, zagadkową miną moknącego przyjaciela.

— Bo widzisz, nie mogę. Pech mnie ściga Posłuchaj: Szedłem, wiesz, do miasta — ciągnął dalej — aż tu drogę mi zabiegł kot. Czarny, paskudny, całkiem ordynarny kot. Zawracam więc, aby iść inną drogą, aż tu biegnie na odmianę pies i zabiega mi drogę. No i rozumiesz mnie, cóż mam robić, odcięły mi te bydlęta dostęp do domu! Pecha mam! — wyrecytował Józek, splunąwszy z rezygnacją pechowca.

— Jak długo jeszcze stać zamierzasz? Chodź lepiej ze mną — zawołałem, zirytowany tępotą kolegi nasiąkniętego wodą jak gąbka.

— Kiedy naprawdę nie mogę — odparł płaczliwym głosem.

— To zostań, kretynie — zawołałem odchodząc. Jak długo jednak tam pozostał, tego ustalić nie mogłem. Parę dni później przechodząc tamtędy, już go nie widziałem. Najwidoczniej poszedł wkońcu. Rzeczywiście! Spotykam go kiedyś — szedł, prowadząc przed sobą psa. Tak, psa! Oczom własnym wierzyć wprost nie chciałem.

— Józek — wołam - coś ty z psem?!

— Ano widzisz, doszedłem do przekonania, że właściwie pies taki nic mi nie winien.

— Przypuszczam, że i krowa nic ci nie zawiniła, dlaczego tedy nie sprawiłeś sobie krowy!

Na te słowa warknął coś Józek wraz ze swym psem i odeszli. Wątpiłem, nie bez pewnych podstaw, aby ten pies, potrafił zaletami osobistemi zjednać sobie sympatję obecnego właściciela. Nie bez pewnych podstaw, gdyż na jego widok nasuwało mi się takie powiedzonko: ot, ni pies, ni wydra. Wydrą napewno nie był, nie ulegało wątpliwości, ale w każdym razie nie przynosił zaszczytu psiemu rodowi.

Dlaczegóż tedy, u licha, sprawił on sobie tego psa?

Uderzyła mnie jeszcze rzecz jedna, mianowicie: psina ta stosunkowo nie wielka, była w nieludzki sposób obładowana, a więc: na pysku kagańcem, który, nawiasem mówiąc, był tak duży, że można z niego było zrobić klatkę dla kanarka, a na szyji obrożą nabijaną gwoździami od której szła linka względnie lina, na niej to, z powodzeniem możnaby było wieszać bieliznę.

Zagadkowo wyglądał w ręku Józka harap skórzany, prawdopodobnie służący do poskramiania owej smutnej imitacji psa! Toż to przy jednem zwaleniu takim harapem — marmelada z biedaka.

Po cóż więc to wszystko? Ta klatka na pysku, to chomonto z gwoździami, ta lina, ten harap?

Niezbadane są tajemnice ludzkiej psychy. Skinąwszy tedy smutnie głową, odszedłem sądząc że lepiej skierować energję mego umysłu w kierunku „Wojny z Jugurtą“.

Hewit Oldin

Kłopoty poczciwego człowieka

Pan Chrapka przetarł załzawione oczy i mówił:

— Ach, co to za smutne wspomnienie!

Idę ja oto raz przez ulicę... i ale byłbym zapomniał. — Ile to razy myślałem nad tem, nawet przemawiałem na ten temat do synów mojej stróżki, (śliczne bliźnięta czteromiesięczne), żeby domy budować ukośnie, tak żeby się dachami stykały. Co za oszczędność na parasolach! Co za raj na ziemi! Zarazbym sobie dał na cześć tego wesołego wypadku zacerować dziurę w skarpetce na prawej pięcie, co mi ją Anielcia koniecznie chce zeszyć, dając tem dowód, że zna się na filozofji, jak kura na pieprzu. Filozofem bowiem trzeba się urodzić, jak mówił Aleksander Wielki, ten wzór wszystkich filozofów. Takim filozofem jestem też naprzykład ja.

Och, ale ten straszny wypadek! Wyszedłem więc w ten straszny dzień z domu i idę przez ulicę, jak to już mówiłem i... (Pan Chrapka spogląda na nas tak ponuro, że musieliśmy podać mu co prędzej szklaneczkę czys.. codziennego chleba, jak on to nazywał). — No, pokrzepiłem się nieco (mówił pan Chrapka). Żeby to tylko mieć jak najwięcej tego chleba codziennego. Bo to w zimie grzeje, w lecie chłodzi, zawsze człekowi wygodzi.

Oo, co do wierszy, to już nie z jednego pieca chleb jadłem. Co tu... Och, co za straszna tragedja! Jęknął pan Chrapka i pociągnąwszy spory łyk czys... codziennego chleba, mówił·

— A więc poleciłem Anielci, żeby mi nie przypaliła kompotu, zeszedłem nadół po schodach i wychodzę na ulicę. Idę więc przez tę ulicę i... (tu pan Chrapka zaniósł się tak strasznym płaczem, że zmusiliśmy go do przysięgi na wszystkie świętości, że nie będzie dalej opowiadał o strasznym wypadku.

N. D.

Estetyka i higjena sali szkolnej.

Ciekawe to jest zagadnienie i żywotne. Wszak otoczenie ma na człowieka wielki wpływ. Otoczenie ponure, ciężkie, przygnębia a jasne, lekkie, ożywia. Inaczej czujemy się w napuszonej atmosferze teatru, inaczej w modernistycznej kinowej sali. Wnętrze kościoła gotyckiego usposabia do rozważań poważnych i głębokich, gdy tymczasem wnętrze kościoła renesansowego lub neoklasycznego zwraca naszą myśl w kierunku bardziej — że się tak wyrażę — świeckim.

Podstawą nowego kierunku w architekturze jest racjonalizm i estetyka, prostota form i ekonomja materjału. Wszelkie wymyślne „ozdóbki“ dodatkowe, mogą być modne, ale moda przemija szybko, nigdy zaś ludzkość nie powróci do starych, niezdrowych i niewygodnych mieszkań.

Hasłem współczesnej architektury wnętrz jest „jak najwięeej słońca, powietrza i światła, jak najwięcej wygody i spokoju, mniej czyszczenia, trzepania i odkurzania“.

Szczególnie ważne jest zagadnienie estetyki w sali szkolnej, w której spędzamy połowę dnia codziennie. Do nauki potrzeba ochoty, żywego zainteresowania się. W ogromnej mierze daje nam to estetyczna dekoracja sali szkolnej.

Przeładowanie sali ozdobami, które

są bardzo zawiłe i powykręcane, męczy oczy patrzących się. Wzrok domaga się wielkich płaszczyzn, linij prostych, co najwyżej półkolistych. Dlatego niestosowne są wszelkie girlandy bibułkowe, męczące oczy swemi jaskrawemi barwami. Oprócz tego że są one w wysokim stopniu nieestetyczne, są też — jakeśmy to już zaznaczyli niehigjeniczne, albowiem gromadzi się na nich kurz. Kurz to nasz największy wróg. Jest to rozsadnik najgroźniejszych chorób... że wymienię tylko jedną.. gruźlicę! Straszna ta choroba porywa miesięcznie mnóstwo ofiar w każdem mieście. Walka z nią musi być bezwzględna!

A więc wyrzucamy za okno wszelkie girlandy! Teraz zabieramy się do kwestji obrazów. I tu nowoczesna estetyka wypowiedziała wojnę zastarzałym poglądom. Jak najmniej obrazów! Oto jej hasło!

Przeładowanie ścian obrazami małemi, sprawia wrażenie tymczasowości, jakby muzeum... nigdy zaś sali szkolnej... A więc wyrzucamy zbyteczne obrazki i wieszamy tylko najważniejsze i to w kolorach jasnych.

1) Obraz treści religijnej,

2) Krzyż,

3) Portrety osób stojących w państwie na najwyższych stanowiskach. W ostateczności zawiesić można kilka znakomitości jak: Kopernik, Sienkiewicz, Słowacki lub Mickiewicz.

Ładnem urozmaiceniem ścian jest duża, barwna mapa.

Kolor pieca powinien być przystosowany do tonacji ścian. Ponadto wyrzucamy wszelkie gzymsiki i t. p. ozdoby w imię dzisiejszego poczucia piękna.

Płaszcze stanowczo powinny wisieć poza obrębem klasy. Jest to warunek niezbędny przy budowaniu nowych sal do nauki. Mokre płaszcze wydają niemiłą woń i zajmują dużo miejsca. W ich fałdach gromadzi się kurz — któremu wypowiedzieliśmy stanowczą walkę.

Okna mają być duże (powinny dawać maximum światła) i w razie otwarcia w szybkim czasie przewietrzać salę.

Byłoby bardzo pożądanem aby w oknach poumieszczać koszyki (korytka) na kwiaty.

Ważną również jest sprawa ławek na których siedzimy. Powinny one być wygodne... ale nie za bardzo... proste, praktyczne i gładko lakierowane. W ławkach nie lakierowanych gnieździ się nasz wróg... Kurz!!! Oprócz tego nierówna powierzchnia działa ujemnie na stan garderoby.

Reasumując to wszystko co przed chwilą powiedzieliśmy, spostrzegamy że kwestja estetyki łączy się silnie z kwestją higjeny. Niepodobna oddzielić tych dwóch spraw od siebie... zwłaszcza dzisiaj... bo estetyka stosuje się teraz do wymagań higjeny, a nie higjena do estetyki. Ważniejsze jest zdrowie niż zadowolenie estetyczne. Trzeba jednak powiedzieć, że nowoczesna architektura szczęśliwie połączyła obie kwestje ze sobą tak, iż wzajemnie się dopełniają.

Napisał St. Pagaczewski

Straż Przednia.

Od lutego b. r. istnieje na terenie naszego gimnazjum, koło Straży Przedniej. Ponieważ jest ono mało znanem, rzucam tu szkic jego ideologji oraz zamieszczam streszczenie jego dotychczasowej pracy. Straż Przednia jest związkiem ideowym mającym na celu przygotowanie młodzieży szkół śred-

nich do pracy twórczej, która ich czeka w życiu obywatelskiem. W obrębie miasta Krakowa jest ona dopiero w stadjum organizacji i znajdując grunt podatny, zatacza coraz szersze kręgi. Jedyną słabą jej stroną jest brak kwalifikowanych instruktorów. Przeszkoda ta w najbliższej przyszłości zostanie usunięta.

Nasze gimnazjalne koło Straży Przedniej liczy 40 członków z klas VIIIa, VIIIb, VIIa, VIIb, VIa, VIb. Zebrania odbywają się co dwa tygodnie. Osią zebrań są referaty poruszające tematy problemów społecznych. Koło współpracuje z pismem szkolnem „Zew“ i żywo zajmuje się życiem naszego Samorządu. Kuratorem koła jest p. prof. Dr A. Znamirowski, prezesem Zięba Jan kl. VIIIa.

Zarząd Straży Przedniej

Działalność Samorządu Szkolnego.

Na posiedzeniu Rady Nacz. w dniu 24. III. b. m. został wybrany Zarząd naczelny wskładzie: Kowalski Władysław Wójt, Siess Fryderyk zastępca Wójta, Warski Juljusz sekretarz naczelny, Korzeniowski jako skarbnik naczelny, Siemieniach jako członek Zarządu. Rada Naczelna wybrała również Komisję Statutową. Zarząd Naczelny wespół z Komisją Statutową przystąpił natychmiast do intensywnej pracy nad statutem i z zadania swego wywiązał się doskonale. W wyniku swej działalności, przedłożył Radzie Naczelnej w dniu 10. IV. b. r. statut do przeglądnięcia i zatwierdzenia. Statut, z niewielkiemi poprawkami, został przyjęty. Następnym etapem pracy Zarządu Nacz. stała się uroczystość ku czci Henryka Sienkiewicza. Wójt Nacz. ze znaną energją, przy współudziale całego Zarządu, zabrał się do dzieła i powoławszy do życia specjalną komisję, po nakreśleniu przez tą planu ogólnego, przystąpił do zrealizowania go. Punktem głównym programu została obrana powieść H. Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy“ w opracowaniu scenicznem Warskiego Juljusza z kl. VIIb. Dnia 25. IV b. r. po miesięcznej wzorowej pracy Zarząd Naczelny ustąpił, w dowód jednak uznania, został w identycznym składzie wybrany według przepisów Statutu na okres do 20. I. 1934. Obecnie celem pracy Zarządu Naczelnego jest uroczystość ku czci H. Sienkiewicza, która odbędzie się koło 20 bm.

Odpowiedzi Redakcji.

A. Ja. „Reprezentacja klasy w pisemku“ — „nie wątpimy w zdolności pisarskie“. „Możemy to wywnioskować choćby“ z tego fejletonu

J. P. „Jego list“. Zacięcie jest, brak jednak wyrobienia.

Ignotus „Nie leć w górę“ i „Zwierzenia“ zatrzymujemy.

P. „Wakacje“ zatrzymujemy.

Jotbe, Zbyt nieociosane te „Kamienie“. Prosimy o coś bardziej gładkiego.

M. M-k. „Wieczór nad Adrjatykiem“ Treść dobra, styl słaby.

J. P. „Zmartwychwstanie“ to „głaz

ciężki“,

L. P. „Smutni“ nas „smutkiem nie wzruszy“

„Modlitwa“, „zaklinam! ratuj“... się autorze.

„Uczucie“ przyjmiemy „sarkastycznym śmiechem“

„Wiosna“ „drżąc prosi“... o wrzucenie do kosza.

Wuh „U stóp Horendy“ — zatrzymujemy.

Kag „Emigrant“ — zatrzymujemy.

Machowicz „Nocna mgła“ — zatrzymujemy.

Z. J. „Wieloryby“ — „zbyt gruboskórne“.

Apa „Teatr na prowincji“ — zatrzymujemy.

Szkolne przedstawienie w teatrze miejskim.

Dnia 10 kwietnia b r. została odegrana na szkolnem przedstawieniu w teatrze miejskim im. J. Słowackiego komedja Szekspira p. t. „Wieczór trzech króli“ Na to przedstawienie udała się młodzież klas wyższych naszego zakładu pod opieką p. profesorów. Na wstępie przemówił p. Skoczylas kilka uwag dotyczących akcji i osób komedji, które to objaśnienia w dużej mierze przyczyniły się do lepszego zrozumienia sztuki. Sama komedja niezmiernie żywa i dowcipna, a powikłania wynikłe z ogromnego podobieństwa brata i siostry, do ostatniej niemal chwili trzymały w napięciu. W roli Violi wystąpiła p. Bednarska, stronę humorystyczną reprezentowali głównie p Kondtrat jako Chudogęba i p. Wołłejko jako stary niegardzący trunkami, wuj Tobjasz. — Ożywiona akcja wymagała ciągłej zmiany dekoracji; niedogodność tę usunięto w bardzo pomysłowy sposób, a mianowicie stworzono trzy osobne sceny, które pojedynczo odsłaniano, zależnie od akcji. Zebrana młodzież gorąco oklaskiwała doskonałą grę aktorów, wywołując ich kilkakrotnie z za kulis.

Dnia 24 kwietnia b. r. wystawiono w teatrze miejskim im. J. Słowackiego komedję Michała Bałuckiego p.t. „Dom Otwarty“ Sztuka ta obrazuje nam życie mieszczańskiego Krakowa w ubiegłym wieku. Przed otrzyma widza przesuwa się wielka różnorodność typów, ujętych z humorem przez aktorów teatru. Autor komedji chciał wykazać w swej sztuce, że jednak najlepszem jest spokojne życie w kole rodzinnem, w przeciwieństwie do t. zw. domu otwartego, w którym urządza się wspaniałe bale: przyjęcia, niezawsze miłe w swoich skutkach.

Jak zwykle doskonały był p. Leliwa w roli zazdrosnego męża, p. Pągowski dał nam dużo humoru w roli „skończonego farmaceuty“, p. Hierowski, p. Daszyńska, nie czuli się pewnie w swoich rolach. W grze p. Golarskiego znać było wpływ roli z „wieczoru trzech króli“; p. Kostecka i p. Kondtrat bardzo dobry.

W związku z moim fejletonem, zamieszczonym w poprzednim numerze „Zewu“, oświadczam, że nie miałem zamiaru obrazić członków Koła Sportowego, a zawikłania wynikły jedynie z bezwiednego, niefortunnego układu słów.

Wł. Hajdukiewicz,

Imieniny Marszałka Józefa Piłsudskiego.

W dniu 19. IV. b. r. po uroczystem nabożeństwie w kościele św. Anny udaliśmy się do Gimnazjum by porankiem dać wyraz czci dla Wodza Narodu. Protektorat nad porankiem objął p. prof. Znamirowski. Urządzeniem poranku zajął się Samorząd Szkolny pod przewodnictwem Wójta Nacz. Władysława Kowalskiego. Całokształt uroczystości prezentował się bardzo dobrze. Po przemowie kol. Nyczka z kl. VIIIb orkiestra symfoniczna odegrała kilka utworów poczem kol. Mikulski popisywał się grą na wiolonczeli. Poranek zakończyło wysłanie telegramu z życzeniami do Pana Marszałka oraz odegranie przez orkiestrę Hymnu Narodowego.

Czasopismo „Zew“ wychodzi raz w miesiącu. Wydawnictwo „Samorządu Szkolnego“ przy Państw. Gimn. IV. w Krakowie, ul. Krupnicza 2. Redaktor odpowiedzialny prof dr. Adam Znamirowski. Pismo redaguje Komitet Redakcyjny w składzie: Starachowicz Zygmunt, Warski Juljusz, Pietrzyk Adam. Administrator: Pankiewicz Zbigniew. — Druk. „Fortuna“ Kraków.